

# Prolog

Ciche kroki odbijały się od marmurowych i kamiennych płyt nagrobnych. Alejki krzyżowały się ze sobą prostopadłymi szarymi liniami. Cmentarz, niemal opustoszały o tej porze dnia, był cichym azylem starej dzielnicy miasta. Porośnięty wysokimi drzewami, z daleka wyglądał jak park i ciągnął się aż do torów i stacji na rogatekach.

Ktoś wygarniał lichą miotłą pierwsze jesienne liście zza starego krzyża, na którym dumnie wisiał posrebrzany Bóg. Bóg, w którego ona nigdy nie wierzyła, bo nie miała czasu, by się nad nim zastanowić. Nie modliła się, bo nie był władzą wykonawczą w jej świecie. Nie był alfą i omegą. Nie stanowił przykładu, nie był antybohaterem. Nawet teraz, gdy nie miała już przy sobie nikogo bliskiego ani też nawet zaprzyjaźnionego wroga, nie potrzebowała go do lamentu, płaczu czy pretensji o zły los i spieprzone życie. Po prostu nic jej nie obchodził byt nadprzyrodzony, który teraz gapił się na nią z każdego krzyża w morzu krzyży.

Ustawiła kwiaty w wazonie i uklepała gliniastą ziemię pod nogami. Grób był świeży i kopiec rozmywał się od deszczu. Zapaliła znicz i usiadła na ławeczce wkopanej przy sąsiednim nagrobku. Często zastygała w tej pozie i trwała tak godzinami. Nawet lubiła to uczucie tępoty i wyciszenia. Zaczynała

rozumieć medytujących mnichów. Świetny sposób spędzania życia. Włączasz tumiwizizm i znikasz z rzeczywistości, a panowie w białych kitlach nie przypinają cię do łóżka, taki jesteś zrelaksowany.

– Nie jest ci zimno? – spytał jakiś szczerze nieobojętny głos.

Odwrociła się w jego stronę i odruchowo uśmiechnęła. To był stary dozorca. Widywała go codziennie od trzech miesięcy, od pogrzebu. Na głowie obszarpana mycka w kratkę, na szyi czerwona apaszka, wywinięta nonszalancko i zawadiacko. Tweedowa marynarka i podwinięte nieco nogawki spodni. Opierał się o rozczochraną miotłę z gałęzi, swoje narzędzie pracy, którym przeganiał ptaki i chuliganów popijających wino w starych kapliczkach. W zmęczonych oczach połykiwał w słońcu ognik dawnej młodości, więc wyglądał jak młokos, tylko że starszy o jakieś pięćdziesiąt lat.

– Siedzisz tu już trzecią godzinę.

– Nie mam nic lepszego do roboty.

– Ach tak – wysapał. – Szcześciara.

Usiadł kilka grobów dalej, na ławce z oparciem, i wyciągnął kanapki z wewnętrznej kieszeni śmiesznego uniformu.

– To ja też zrobię sobie przerwę.

Chwilę ciamkał w ciszy, potem, sądząc z dźwięków, jakie do niej docierały, popił solidnie. Nie wiedziała, dlaczego wypadło jej to z ust. To było tak naturalne, jakby pytała samą siebie.

– Dlaczego oni to robią?

Usłyszał to wyraźnie. Patrzyła na niego spokojnie i żarliwie. Rozejrzał się dokoła, jakby przyparty do muru, bo znał setki odpowiedzi, ale żadna by jej nie zadowoliła. Siedzieli w sektorze H 11, pod samym murem w kącie cmentarza. W sektorze samobójców. Wiatr cicho poruszał koronami drzew, ostatnie słońce tej jesieni migotało w ciszy na szarych marmurach, na imionach i nazwiskach, na datach, na epitafiach, które bez sensu opisywały ludzi i wydarzenie samego zejścia ze świata.

Podrapał się po policzku z brodawką.

– Mówią, że samobójstwo to ostatnia i jedyna odwaga tchórza – mruknął.

– To nie jest odpowiedź.

– Każdy jest inny i ilu tu ich leży, tyle byłoby odpowiedzi na twoje pytanie.

– Może to i prawda, ale ja chcę wiedzieć, dlaczego akurat ten to zrobił.

W jej głosie było tyle samo spokoju, co pasji i gniewu. Tyle samo bólu i strachu, co hardości, i odwagi.

– Wiesz, przypomniało mi się coś. – Uśmiechnął się pod nosem, jakby uradowany z tego, co miał jej powiedzieć.

Odczekał jeszcze kilka chwil i spojrzał gdzieś nad korony starych skrzypiących drzew.

– Słyszałem kiedyś historię o Mieście Samobójców. Kojarzysz?

Pokręciła głową, że nie.

– To bardzo dziwne miejsce. Jeśli samobójca ma szczęście, zostaje uratowany i trafia właśnie tam.

– Uratowany? Przed czym?

– A bo ja wiem, co ich tam czeka? – Wzruszył ramionami. – W każdym razie jeśli tam trafi, to ma szansę żyć w tym mieście jeszcze raz.

– Mówisz mi, że jeśli i ja założę sobie stryczek, to przy odrobinie szczęścia będę miała szansę zapytać go osobiście, czemu był takim idiotą?

– Bystra jesteś – rzucił ze śmiechem dziadek.

– Odpada. Ja nie jestem z tych ostatecznie odważnych. Jest inny sposób?

Znowu się zaśmiał i niemal wziął pod boki.

– Z diabłem ci kontrakt spisywać, dziewczyno. Jest. Jest jeszcze jeden sposób.

– Jaki?

Jej oczy płonęły. Żarliwie pragnęła odpowiedzi.

– Musisz się pomodlić.

Cisza.

– Modliłaś się kiedyś?

– Nie.

– Jesteś wierząca?

– Jestem ochrzczone, ale na to nie miałam wpływu. Nie modłę się, bo nie ma w moim życiu nikogo wartego modlitwy.

– Już nie ma. Ale to może nawet lepiej, że to twój pierwszy raz – zmienił temat. – Bo to inna modlitwa. Nie paciorek przed snem i nie nabożne jęki dewot.

– To jaka ma być ta inwokacja?

Dziadek znieruchomiał na moment.

– Ładnie to nazwałaś. Dziś już nikt nie używa tego słowa.

Przyjrzał się jej raz jeszcze. Pokiwał głową, ostatecznie przekonując siebie, że postępuje słusznie.

– Musisz ją ułożyć sama. Wszystko ma być w niej szczerze, wszystko przemyślane, wszystko z serca. No i musisz być pewna, że tego chcesz. Naprawdę pewna, że chcesz znać odpowiedź.

– To wszystko?

– Tak, chyba tak.

– Więc do zobaczenia. Idę napisać inwokację o przyjęcie do Miasta Samobójców.

Zaskoczyła go. Nie zdążył jej nawet odkrzyknąć. Siedział chwilę osłupiały, potem oparł się wygodnie o łuszczącą się z farby ławkę i podrapał pod apaszką, gdzie uciął go komar. I po wyraźnym śladzie duszenia, który zachodził mu wysoko na kark szeroką siną pręgą.

– Kto wie. Może się jeszcze zobaczymy. – Uśmiechnął się i wsparłszy o miotłę, podniósł się z ławki.

Mieszkała na najwyższym piętrze przedwojennej kamienicy. Przy wejściu na klatkę schodową trzeba było wstrzymać oddech, bo jak zwykle w sobotę sąsiadka z parteru lizolem zmywała obszczywane przez pijaczków deski podłogi. Tym

razem też nie pożałowała i niemal szczypało w oczy. Trzeba było jednak przyznać, że szczury wyniosły się z piwnicy, odkąd wytoczyła to działo w walce ze smrodem i brudem.

Wdrapała się po wysokich schodach. Przełożyła siatkę w drugą rękę i sprawdziła, czy palma, która stała między drzwiami jej i sąsiadki, ma wystarczająco mokrą ziemię. Przekręciła klucz i stary zamek szczęknął znajomo. W środku było jasno. Jeden duży pokój łączony blatem z kuchnią. Dwa okna, białe firanki, zasłonki w kwiatki. Białe ściany. Skromnie, ale czysto. Rozłożona sofa, na której spała, przykryta szarą kapą. Telewizor pomiędzy oknami. Stoliczek, dwa niewielkie fotele. Na blacie, pod którym stały dwa wysokie taborety, leżała kartka i ołówek. Odstawiła siatkę i dopisała jeszcze kilka zdań, a potem odłożyła ołówek i poszła do ciasnej łazienki. Odkręciła kurek i zatkała wannę. Wszystko robiła jak w transie. Pieniła szampon na włosach, potem je suszyła, zjadła kolację przy jakimś durnym teleturnieju, posprzątała po sobie. Tylko jedną rzecz zrobiła świadomie. Włożyła kurtkę i buty i położyła się z tą kartką w ciemności pokoju. Nieruchomo, gapiąc się w okno. Kiedy zrobiło się jasno, zapłakała cicho. Ludzie często myślą, że nie mają już siły płakać i lży zaskakują ich w najmniej oczekiwanych momentach. Tekst na kartce rozmazał się. Potem było już lepiej i zaciskając pięść na szarej kapie, czytała słowo po słowie. Zasnęła chwilę później, zmęczona kolejną nieprzespaną nocą i kolejnym płaczem do świtu.

Słońce powoli zalało pokój. Na telewizorze spokojnie osiadał kurz. W głębi dudnił w ciszy zegar ścienny. Podmuch lekkiego wiatru wpadł przez okno i poderwał do lotu firankę. Kartka, która leżała na łóżku, zsunęła się bezszelestnie i opadła na podłogę. Kolejny podmuch wsunął ją delikatnie pod komodę w przedpokoju. Na szarej, zmiętej kapie pozostał jedynie odcisnięty ślad sylwetki. Na łóżku nie było nikogo.

# Miasto

(...) Zaułki dużych miast wyglądały tak samo. Kubły na śmieci, smród i szczury wielkości kotów. W tym akurat było cicho. Za cicho. Bezdomny spał na stercie kartonów przykryty gazetą po czapkę, by mu słońce nie zacinało w oczy. Wszystko było takie swojskie i naturalne. Oprócz potwora, który skulił się łbem w dół na pionowej ścianie. Wielkie żółte ślepie, cztery łapy jak u psa. Trząchał futrem na grzbiecie. Mienił się kolorami tynku i farby z graffiti. Z paszczy wystawały mu kły, które co jakiś czas oblizywał długim jęzorem. Gdzieś w oddali rozwyła się syrena karetki, ktoś nacisnął klakson.

Drużyna Koshego przeczesywała teren od trzech dni. Przy rutynowym przejściu natrafili na gniazdo Hien i wrócili, by wybić stado. Były szybkie, zwinne i do tego polowały hordami. Podobne do swoich imienniczek, z wyjątkiem budowy ciała. Miały bardziej kocie ruchy i ogon, ale poza tym zjadały każdą energię astralną, dlatego były utrapieniem wszystkich trzech Miast. Hiena nie pogardzi nawet umierającym szczurem. Zezre wszystko i mnoży się, gdy tylko znajdzie większe żerowisko. Kilka ulic stąd stała ubojnia, więc sprawa wydawała się prosta, ale nawet demony ewoluują i uczą się, więc zwykle ich gniazda były w pobliżu, a nie bezpośrednio na żerowisku. Ta, którą zagonili w zaułek, była jedną z ostatnich. Zmęczeni

i głodni, nadal pracowali na najwyższych obrotach, wiedząc z doświadczenia, że rutyna zabija.

– Prince, namierzyłeś ją? – spytał, przysuwając komunikator bliżej ust, by siedzący w centralce usłyszał szept wyraźnie.

– Macie ją przed nosem. Zachodnia ściana – odpowiedział głos w słuchawce. – Klecha ma ją dokładnie pod nogami.

– Pod nogami to ja mam wrzód na dupie społeczeństwa – mruknął Klecha, który kucał na gzymsie i z wysokości szóstego piętra patrzył w dół na śpiącego pijaczka.

Wysłuchał się raz jeszcze w lichy dźwięk, który do niego dotarł. Samochody na ulicy stanęły na światłach. Teraz usłyszał wyraźnie. Ślina z pyska kapłała wprost na przykrycie bezdomnego.

– Mam cię – szepnął do siebie i zaczął biec po pionowej ścianie w dół.

Poły rozciętej sutanny rozwiały się na boki. Wysunięty pistolet podążał za celem. Maskowała się barwą otoczenia, ale gdy się poruszyła, kontur rozmywał się jak żelowa przezroczysta plama. Jej jedyną obroną w takich sytuacjach był kamuflaż nieskuteczny w ruchu. Biegła wprost na niego, skacząc na boki, by jej nie namierzył. Strzelił, gdy była zaledwie o jeden skok od niego. Odrzut oderwał ją od ściany i spadła z hukiem na kontenery. Bezdomny podskoczył i chyba momentalnie wytrzeźwiał. Rozglądał się wokół, ale nie było nikogo. Klecha zeskoczył, gdy zostało mu kilka kroków do ziemi.

– Poza tym czysto w tym kwadrancie – usłyszeli w słuchawkach.

– Zbieramy się – padł rozkaz.

Borys wyszedł z za ciężarówki, Szczur schodził podobnie jak Klecha, po pionowej ścianie domu naprzeciwko. Koshe wszedł w zaułek z ulicy. Spotkali się w połowie drogi. Klecha podpalił papierosa, ale nie zdążył się zaciągnąć, gdy Prince gruchnął z centrali:

– Macie jedną na ulicy po przeciwnej stronie. Biegnie wprost na was.

Nie zdążyli zareagować. Usłyszeli strzał, potem ręka trzymająca pistolet wysunęła się zza rogu, a palec ponownie naciśniętą spust, tak jak nakazywał przepis, i tak jak oni już dawno przestali robić. Szkoda kuli. Ręka cofnęła się, więc poszli sprawdzić, kto wciął im się w robotę. Zdążyli tylko zobaczyć, jak ktoś ląduje na dachu, bo wchodził po linie. Było zbyt wysoko i pod słońce, by przypatrzeć się dokładniej.

– Szczur, przyjrzyj się.

Szczur zrozumiał rozkaz. Nasunął okular na oko i automatycznie dostosował ostrość. Na dachu stała dziewczyna i odpinała uprząż.

– Jakaś bura cizia.

– Bura? – spytał Klecha, machając petem w zębach.

– Kolor włosów... jakiś taki, chujowaty. Młoda. Cycek prawie zero.

– Znasz?

– Nie, ale podobno Stary puka jakąś młódkę. Może to ona?

– Prince, kto trzyma powróż?

– Stary – usłyszeli po chwili.

– Gdzie jest?

– Spójrz w górę.

Stał tam ich kapitan. Z jego miny wynikało, że coś mu się nie podoba. Znali się za dobrze, by nie zrozumieć mowy ciała szefa.

– Koshe – usłyszał głęboki, twardy ton.

– Słucham – odpowiedział mu po chwili.

– Spotkamy się dzisiaj przed kolacją w sali odpraw. Mamy do pogadania.

– Czyżby ustalili już koordynaty, o które prosiłem, bo jeśli tak to...

– Nie. To prywatna sprawa. Czekam o osiemnastej.

Koshe spojrział na zegarek. Było po piętnastej ich czasu. Zerknął jeszcze raz w górę, ale nie było tam już nikogo. Wy-

łączył komunikator i wyciągnął słuchawkę z ucha. Omiótł wzrokiem towarzyszy. Każdy miał minę winowajcy.

– Nie był taki oficjalny od czasu, kiedy przemyciliście pół kilo zioła. Tak więc zapytam wprost. Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

Popatrzyli po sobie.

– A o jakim rzędzie wielkości przegięcia mówimy? – spytał Klecha, krzywiąc się od dymu, który wpadł mu do oka.

Prince był Włochem z pochodzenia. Jego matka miała restaurację ze swojskim żarciem i nie wiedziała nic o niebezpiecznej pracy syna. Makaroniarz, jak go również przezywali, znał się na wszystkim, co miało guziczki i przyciski. Kumple śmiali się z niego, że ślini się na widok mrugających diod. Cała jego liczna rodzina myślała, że w Mieście jest technicznym dla wojskowych i że pracuje za biurkiem.

Z matką widywał się na każdej przepustce i wtedy ściągał wszystkie swoje ozdoby, a było ich sporo. Kolczyki, bransoletki, koszulki z niewybrednymi napisami. Opróżniał też kieszenie z masy kolorowych lizaków i palce z licznych srebrnych obrączek. O tym, że był homoseksualistą, też nikt z jego bliskich nie wiedział.

Jechał na swoim skuterku, przeciskając się przez tłumy na obrzeżach ulic. Jaskraworóżowy kolor widać było z daleka. Na kierownicy, po obu stronach okrągłego okularu przedniego reflektora, powiewały włoskie chorągiewki. Przystopował na światłach. Ruch zatrzymał konwój z zaopatrzeniem. Wielkie stare ciężarówki sunęły w stronę Północnego Posterunku. Obok Różowej Landrynki, której imię wdzięcznie namazano złotą farbą na pojemniku na kask, stanęła półciężarówka. Poznał ją od razu. Z głośników biła ta sama co zwykle mlócka. Wiedział, że będą szukali zaczepki. Oddział z Południowego, z którym wiecznie był problem. Przyjeżdżali tutaj,

bo w północnej części były najlepsze speluny i najładniejsze dziewczyny. Akurat ci jednak, nie umieli odróżnić, kiedy kończy się zabawa, a zaczyna ostra zadyma. Jeden z nich prowokacyjnie zwiesił się z okna, uśmiechając się bezczelnie. Prince zduśił kolejny zielony balon i poprawił okulary przeciwsłoneczne. Lśniący od wosku ford zajączał silnikiem dwa razy z rzędu.

– Prince, ale ty masz maszynę. W papierniczym farbę wybierałeś?

Ciche śmiechy z wnętrza samochodu zamieniły się w ryki. Uśmiechnął się do nich pełnią śnieżnych zębów i przeżuł zadziornie, tak by guma nieestetycznie utkwiała mu między zębami. Potem zawinął językiem i ostentacyjnie zgarnął ją z powrotem.

– Gdyby inteligencję mierzono wielkością felg, byłbyś geniuszem.

Zniżył lekko głowę i uchylił palcem okulary.

– O, zobacz. Rdza – zakwilił przesadnie i tępak odruchowo wychylił się jeszcze bardziej.

Zielona guma przeleciała mu przed nosem i utkwiała nisko na drzwiach. Mordercze spojrzenie mogło być niepokojące, ale Prince miał dzisiaj wyjątkowo udany dzień i olał je tak jak dziesiątki poprzednich. Mrugnął mu tylko jak dobry znajomy.

– Polecam się.

Zasalutował ręką w skórzanej rękawiczce bez palców i wjechał pomiędzy ciężarówkę z kolumny. Słyszał, jak próbowali zrobić to samo, ale strąbili ich niemiłosiernie. Jechał, trzymając się jedną ręką ślimaczo sunącej landary. Potem odbił w prawo, w wąski przesmyk między budynkami. Reszta już na niego czekała. Zatrzymał się przed wejściem i zaparkował swoje cudo obok kolarzówki Klechy. Startł jeszcze jakiś niewidoczny pyłek z kierownicy i podszedł do swoich. Ktoś z piskiem zahamował przed zjazdem. Silnik burknął znajomo. Ten sam łoskot rozrywał głośniki.

– Prince, zawsze chowasz się za kumplami czy może płacisz w naturze za ochronę?! – ryknął tępak.

W tym samym czasie Koshe wyszedł z samochodu zajęty rozmową przez komórkę. Chłopcy z Południowego zauważyli go i zaczęli wycofywać na ulicę. Prince posłał im zwiewnego buziaka i żegnał ich, przebierając palcami.

– Nie wykonuj przy mnie tych ciotowatych gestów – burknął Szczur i pociągnął go za kołnierz skórzanej kamizelki. – Kiedyś będą z tego jakieś kłopoty.

Wciągnął go do środka.

Jechali windą na najwyższe piętro.

– Powiedz, po co my tam idziemy? – zaczął Klecha. – Przecież nic na nas nie ma.

– Żeby nie musiał wam wszystkiego powtarzać – mruknął dowódca.

Wysiedli i wyszli na pusty korytarz. Stanęli przy drzwiach i Prince przykleił do ściany podsłuch. Ustawił głośność. Borys z Klechą oparli się po bokach, by zasłonić brzydkie pudło własnej roboty. Koshe wszedł i w głośniku usłyszeli jego kroki. Podeszedł do pulpitu.

Kapitan siedział oparty nogami o mapnik i bawił się elektronicznym wyświetlaczem. Grał ze sobą w kółko i krzyżyk. Sala odpraw była aulą, w której zaczynali dzień. Mieściła jakieś sto osób, ale nigdy nie widział w niej więcej niż pięćdziesiąt. Wielki monitor, który wisiał na ścianie, pokazał remis.

Koshe oparł się o pulpit jednego z pierwszych krzesel. Założył ręce na piersi i czekał, gotowy po raz kolejny wyciągać swoich z kłopotów. W sali było ciemno i jedyne światło dawał zimny odbłask monitora.

– Wiem, że znowu napisałeś prośbę o znormalizowanie czasu waszych akcji – odezwał się w końcu kapitan.

Dopiero teraz Koshe zauważył do połowy pustą butelkę, którą szef Posterunku miał pod nogami. Szklankę trzymał w ręku. Popijał małymi łyčzkami herbaciany trunek.

– Zgadzam się, żebyście pracowali od poniedziałku do czwartku, od godziny ósmej do piętnastej.

Koshe był zadowolony, ale coś mu nie pasowało.

– To była czwarta taka prośba w tym miesiącu. Mój sekretarz wysyłał ją w każdy poniedziałek od trzech miesięcy. Czym ta różniła się od poprzednich?

Stary pociągnął ze szklanki solidniej i musiał uzupełnić brak. Zakrętka szurała po szyjce butelki.

– Tym, że przedtem zależało na tym jedynie tobie, a teraz zależy nam obu.

Cisza.

– Gdzie tkwi haczyk?

– Polubi cię. – Kapitan zaśmiał się do siebie. – Oboje szybko myślicie.

– Kto ma mnie polubić?

– Twój nowy członek załogi.

Martwa cicha wściekłość.

– Nie potrzebuję nowego. Mam komplet.

– Masz o trzech za mało i przysmykają na to oko, bo ja przysmykam na to oko.

– Za co jestem wdzięczny, ale nie potrzebuję nikogo nowego. Jesteśmy tym zespołem od lat i niech tak zostanie. Wódz i Ron zapewne wrócą. Podejrzewam, że ich misja, czy co tam robią, nie będzie trwać wiecznie.

– Ale Marii nie ściągniesz z powrotem. Mija rok od jej awansu.

Znali się ze Starym, odkąd Koshe był dzieckiem. Już wtedy go tak nazywali. Uczył go osobiście, bo takie życzenie wyraził jego ojciec. Nadzorował go do chwili, gdy oddał mu pod dowództwo własny oddział. Nigdy nie wtrącał się w jego działania ani nie komentował jego metod. Dziś był pierwszy raz.

– Wiesz, że nikogo spoza wąskiego grona ludzi nie zaakceptuję. Nawet gdybyś dał mi kogoś, kogo znam, byłoby mu

ciężko, bo ja nie lubię czuć niczyjego oddechu na karku. Dobrze mnie znasz, a jednak wciskasz mi go na siłę.

– Nie wciskam, a proszę – rzucił kapitan z zażenowaniem. Koshe opuścił ręce.

– Ty? Prosisz?

– Na trzeźwo nie byłbym do tego zdolny, a kaca mam zwykle po przekroczeniu połowy flaszki. Jestem... – spojrzał na resztki – ...jedną czwartą od dna, więc jutro radzę schodzić mi z drogi do południa.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? Kto to jest? Syn wpływego urzędasza? Protegowany z majątnej rodziny?

– Nie. To mój protegowany, a raczej moja.

Koshe się uśmiechnął.

– A więc to prawda. Masz jakąś młodą dupę i zachciało jej się walki z demonami. Jeśli tak, to daj ją pod Herosa ze Wschodniego. On już wie, jak nikogo nie narazić. Mnie nie mieszaj w swój kryzys wieku średniego.

Gdy na niego spojrzał, poczuł zimny dreszcz w okolicy kręgosłupa. Jasne oczy Starego zaszkliły się niebezpiecznie. Odstawił szklankę na podłogę i odsunął ruchomy pulpit nogami. W dwóch krokach stanął przed dawnym uczniem. Wymienili wrogie spojrzenia.

– Jesteś dla mnie jak syn – wycedził kapitan. – Uczyłem cię, odkąd wypadły ci mleczaki. Ale jeśli jeszcze raz nazwiesz ją obraźliwie lub pozwolisz o niej mówić tak innym, zapragniesz mieć na powrót choćby mleczaki. Czy się zrozumieliśmy?

Koshe nie był bojaźliwy. Stary był jedyną osobą w całym tym Mieście, którą szanował, cenił i która była mu bliska, jak bliski powinien być ojciec.

– Aż tak jest dla ciebie ważna?

Właściwie nie musiał pytać. Widział jak bardzo.

– Tak. I wiem, że niestety, tylko ty, jeśli obiecasz, że jej dopilnujesz, to tak będzie.

– Może ufasz nie tej osobie, co trzeba?

– Chcesz w ryj?

Koshe zaśmiał się i cała groza prysła. Na szczęście Stary też spasował. Dawno nie było między nimi takiego napięcia.

– No to gdzie jest to twoje чудо?

– Czeka na nas w szatni. Przydzieliłem jej szafkę Marii.

– Skąd wiedziałeś, że się zgodzę?

– Ja nie piję na darmo.

To mówiąc, wychylił szklankę, do której wylał resztki z butelki. Szkoło odstawił do innych na tacy przy czajniku, a butelkę wrzucił do kosza. Zgarnął klucze z pulpitu i zgasił wyświetlacz. Koshe wyszedł pierwszy, a za nim kapitan, który zamykał drzwi tyłem do podsłuchujących. Gdy przekręcał klucz w drugim zamku, mruknął do nich:

– Tylko odczepcie to tak, żeby farba nie odlażała. Ostatnim razem musieli malować ścianę przed inspekcją.

Borys zaśmiał się, ubawiony sytuacją, a Klecha zgasił niedopałek na posadzce. Poszli za nimi.

Szatnie i sale do ćwiczeń zajmowały starą część budynku. Sale ulokowane były wzdłuż galerii, a na placu pomiędzy arkadami stały metalowe szafki i ławki. Szli drugim piętrem, skąd mieli dobry widok na dół. Szafka Marii była otwarta. Ktoś układał w niej swoje rzeczy. Widać było tylko nogi, dopóki nie zamknęła drzwiczek. Nie chciały się domknąć i musiała przycisnąć je całym ciałem.

– A teraz najważniejsze, panowie – odezwał się Stary. – Ona przeszła jedynie moje szkolenie. Zapisalem ją do Szkółki, więc wieczorami od poniedziałku do czwartku, będzie chodzić na zajęcia.

– Teraz rozumiem – podsumował Klecha. – Czas pracy jak w fabryce, żeby mała miała czas na naukę.

– Dajesz mi żółtodzioba? – Koshe wykrzywił się brzydtko.  
– Przecież to jak wyrok. Narażasz nie tylko ją, ale i nas.

– Dziękuję, że mi to uświadomiłeś. Od razu widzę jaśniejsz i zaraz skoryguję swój błąd.

– Nawet ja musiałem przejść tę debilną Szkółkę – odezwał się Szczur, który bardzo niemiło wspominał ten czas.

– Powiedzmy, że jest wyjątkowa nie tylko dla mnie i dobrze byłoby, gdyby nauczyła się wszystkiego szybciej.

Popatrzyli na dziewczynę w dole.

– A co w niej wyjątkowego? – palnął Szczur. – Chuda, niska, płaska.

Koshe nie zdążył zareagować. Kapitan był szybszy.

– Uprzedzam, Szczur. – Stał obok chłopaka. – Ona mówi prozę, dziękuję, smacznego, więc to może być dla ciebie szok kulturowy. Nie zapomnij języka w gębie.

Z miny Szczura wywnioskował, że w te kilka sekund został całkowicie zresocjalizowany. Ruszył w stronę schodów, a oni za nim. Koshe machnął ręką, że zaraz ich dogoni, bo rozdzwonił się jego telefon.

Słyszała kroki, ale nie odwróciła się, bo ta cholerna szafka już prawie się zamknęła. Czyjaś szczupła dłoń oparła się na drzwiczkach przed jej twarzą, docisnęła mocniej. Zobaczyła też but na spodzie, po przeciwnej stronie.

– Musisz docisnąć w tych miejscach. Dojdiesz do wprawy.

Gdy zamek zaskoczył, palcem zakręcił tarczą z szyfrem. Odwróciła się powoli i zastygła zdumiona. Ten, który jej pomagał, nosił sutannę. Rozcięta po bokach i z tyłu, długa do pół łydki. Podwinięte rękawy i szkarłatna koloratka dały jej jasno do zrozumienia, że nie ma do czynienia z proboszczem.

Wysoki i szczupły, ale czarne sukno zdradzało, że nie jest cherlawy. Z rozcięcia na wysokości kieszeni, wyciągnął paczkę marlboro i wystukał z niej papierosa. Wprawny ruch nadgarstka otworzył i zamknął zapalniczkę. Jasne proste włosy kontrastowały z czernią i czerwienią pod szyją. Postrzępiona czupryna sięgała za uszy. Najwyraźniej od dawna nie korzystał z usług fryzjera. Delikatna twarz, duże wyraźne oczy, wąski nos i blade usta, a w nich wdzięcznie unoszący się papieros, jak u alfonsa. Patrzył na nią z góry.

Obok stał ktoś równie niesamowity. Oparty o rząd szafek naprzeciw niej trwał w pozycji luzaka. Chłopak był może w jej wieku, może nawet to nie. Twarz wiecznego dziecka. Był ogolony niemal na zero, z wyjątkiem płowej, słomianej grzywki, która wpadała mu do oczu. Do wielkich, zielonych jak trawa gał. Poza tym był patykowaty i długi. Obcięte rękawy koszulki nie ukazywały żadnych większych bicepsów. Długa szyja z wyraźnym jabłkiem Adama, sprane džinsy, koszulka z angielskim napisem „kocham duże niebieskie oczy”. Nie patrzył na nią zbyt przychylnie i ten napis wiele jej wytłumaczył.

Na ławce siedział kolejny, który się jej ciekawie przyglądał. Ciemna skóra jak u Włocha czy Greka. Ładna, wręcz idealna proporcja twarzy. Bujna czupryna opadająca na szyję, zaczesana na brylantynę. Na nosie ciążyły mu okulary, takie same, jakie nosił kapitan. Metalowy drut oprawek i duże czarne szkła. Również wysoki, długie nogi sięgały pod rząd szafek z naprzeciwka. Białe adidas, jasne spodnie, przy szlufce łańcuszek z kluczami, którymi się bawił. Masa srebrnej biżuterii. Kolczyk w brwi, biała koszulka z podwiniętymi rękawkami. Wizerunek dopełniała krótka skórzana kamizelka i także rękawiczki bez palców. Wyglądał dość oryginalnie, więc było dla niej jasne, że jest innej orientacji.

Natomiast za kapitanem stał olbrzym. Gdyby miał brata, byłby nim Goliat. Wielki i zbity jak skała. Mięśnie przebijały przez obcisłą koszulkę. Można było uczyć na nim anatomii. Szeroki skórzany pas ozdabiał obcisłe džinsy. Miał ze dwa metry wzrostu. Popatrzyła na pogodną twarz. Włosy ciemnoblonde, krótko przystrzyżone, schludny i wyprostowany. Okrągła buzia i pełne policzki przypominały dobrotliwego misia. Był z nich wszystkich najstarszy i najwyraźniej najspokojniejszy. Miodowe guziczki oczu uśmiechały się do niej przyjaźnie.

– To jest Lilith – odezwał się po dłuższej chwili kapitan.

– Od jutra zaczynacie razem pracować, więc zostawiam was, żebyście się bliżej poznali.

Odszedł i zostawił ją na pastwę czterech świdrujących par oczu. Tak jak się spodziewała, zwalisty osiłek podszedł jako pierwszy, uśmiechnął się ciepło i podał jej wielką twardą dłoń.

– Witaj, Lilith. Nazywam się Borys – usłyszała gong w studni. – Miło nam cię poznać, prawda, chłopcy?

Chłopcy niezgrabnym chórem mruknęli wdzięczne „taaa”. Uścisnęła bochen chleba i odwzajemniła uśmiech. Potem Borys ustąpił miejsca temu, który wszedł jako ostatni i stanął za jego plecami. Wyglądał jak urzędnik wyższego szczebla w piątkowy dzień bez krawata, ale sądząc po wyrobionej postawie, aktówki raczej do pracy nie nosił. Kilka pasm czarnej połyskującej grzywki wyszło z zaczesanego wysoko warkocza. Sięgał mu do ramion spięty srebrną klamerką. Nie oderwał od niej zaciętego spojrzenia, ale i bez tego było jasne, że szczęśliwy z nowego przydziału nie jest.

Wskazał na tego w sutannie.

– Ten w kiece to Klecha bądź Kaznodzieja. Chyba nie muszę tłumaczyć dlaczego – odezwał się surowym tonem. – Młody to Szczur. Koleżanka obok niego to Prince lub Makaroniarz. Borys ci się już przedstawił. Ja nazywam się Koshe. Wszyscy tak tu na mnie mówią, więc i ty tak mów. Jestem twoim dowódcą. Zaczynamy jutro o ósmej i jak wszystko pójdzie zgodnie z planem, wrócimy do piętnastej. Śniadanie serwują o siódmej, więc jeśli zaśpisz, zapijesz czy spękasz i nie stawisz się punkt ósma przy portalu, na tym zakończymy współpracę. Zrozumiałaś?

Skinęła głową. Stał jeszcze przez chwilę i taksował ją wzrokiem, beczelnie nie omijając tego, co ominąć powinien.

Według niego wyglądała jak dziecko. Miała może z siedemnaście lat, a może i tego nie. Waga: jakieś pięćdziesiąt, góra pięćdziesiąt dwa kilogramy. Wzrost: na oko metr sześćdziesiąt. Ale nie to go zaciekawiło. Jeszcze nigdy nie widział tak

smutnych oczu ani takiego koloru tęczy. Nie miały żadnej wyraźnej barwy. Były po prostu brudne jak zamulona kałuża. Odcinały się od niemal błękitnych białek. Wielkie smutne oczy. Włosy za ramiona w takim samym kolorze, jakby w jej ciele był tylko jeden barwnik. Kilka jasnozłoty malutkich piegów wokół oczu i na nosie. Biała jak pergamin skóra. Nie była okazem, który zachwyca. Dziwił się, że wywarła takie wrażenie na Starym. Kapitan lubił kobiety ciekawe, niekoniecznie ładne, ale Inga była dalece bardziej interesująca od chuchra, które miał przed sobą. Wojskowa zielona patrolówka, której oni nie mieli na wyposażeniu, leżała na ławce obok, więc z pewnością należała do niej. Podobnie kurtka, która też miała wojskowy krój i była w kolorze wojskowej zieleni. Poza tym zwykła szara bluzka z wywinętym białym kołnierzykiem, która nie odkształcała się w miejscu, gdzie powinna. Ciemnogranatowe dzinsy i glany. Chyba się przebierała, bo miały wywinęte języki, a sznurówki wyciągnięte z rzędu dziurek. Tylko tego mu brakowało. I tak byli zbiorowiskiem czubków i zadawali się z sobą podobnymi, ale zbuntowana nastolatka to już gruba przesada.

– Szczur miał rację. – Uśmiechnął się wrednie. – Ty cała jesteś bura.

Rozejrzał się po sali i spojrzął na zegarek z wieloma tarczami. Podrapał się kciukiem w prostą czarną brew.

– Mam spotkanie o dziewiętnastej, więc do jutra. – Odszedł w kierunku wyjścia, odwijając rękawy koszuli.

Reszta również się zbierała. Z tyłu został tylko Szczur. Rozłożył ręce.

– Szkoda, mała, ale Lara Croft to ty nie jesteś.

Zaśmiała się pod nosem i postawiła nogę na ławce. Powoli ściągała sznurowadła.

– Taka ze mnie Lara Croft jak z ciebie Indiana Jones – mruknęła lekko rozbawiona.

Zatrzymali się niemal w tym samym momencie i odwró-

cili jak na komendę. Podeszli i otoczyli, nie przestając się na nią gapić.

– Co ty powiedziałaś? – zapytał, jękając się Szczur.

– Powiedziałam, że żaden z ciebie Indi, więc ja mogę nie być Larą. Niech zgadnę, chodziło ci o... warkocz? – Zaśmiała się i zawiązała sznurówkę.

Szczur podszedł do niej i tknął ją dwa razy palcem tak mocno, że wpadła z łoskotem na szafki.

– Słyszałem, że w Instytucie tworzą różne maszynki, ale ta jest naprawdę dobra.

Szturchnął ją jeszcze raz, zanim uderzyła go w rękę.

– Zrobisz mi siniaka.

Bez pardonu podciągnął jej bluzkę i uszczypnął w brzuch.

– Baterie wkładam gdzie indziej. – Spojrzała w wystrzone zielone ślepie.

– Program wrednych odzywek też ci wgrali? – mruknął Klecha znad kolejnego papierosa.

– Tak, ale wybaczenie, nie pokażę wam łącza. Sami rozumiecie, tajemnica patentu.

Postawiła drugi but i sznurowała go, próbując ukryć zakłopotanie wywołane całą tą sytuacją. Wychodziło na to, że się nie polubią. Włożyła kurtkę i sprawdziła klucze, które brzęknęły w kieszeni. Zwinęła włosy w kok i schowała je pod czapkę.

– A teraz panowie wybaczą, ale idę do stołówki.

Podniosła z ławki przepustkę i włożyła ją na szyję, gdzie na kulkowym łańcuszku kołysał się nieśmiertelnik. Dostawali go tylko ci, którzy wychodzili do świata żywych. Przeszła okrakiem nad ławką i ruszyła w stronę wyjścia w ścianie z wielkimi masywnymi oknami po sam sufit.

– Jak ci na imię? – spytał wściekły Koshe.

– Lilith. Lilith Novak – rzuciła, a potem dodała smutnym, pustym głosem: – A na drugie mam anomalia. – Zaśmiała się pełna goryczy.

Kiedy usłyszeli, jak wachluje skrzydło drzwi, a jej kroki ucichły w głębi korytarza, zaczęli głośniejszymi oddechami. Prince odezwał się pierwszy:

– Co to, kurwa, było?

– Nie wiem, ale się dowiem. A na razie mamy problem – podsumował dowódca.

– Kolejny na liście. Wpiszemy ją między brak amunicji a brak wyposażenia, zaraz pod spieprzoną centralką, którą trzeba naprawić po raz czwarty w tym miesiącu – mruknął Klecha i puścił kłąb dymu.

– Będziemy robić za przedszkole w zamian za normalny czas pracy, którego od lat nie mieliśmy, i mnie to pasuje.

– Będziemy ją niańczyć, bo Stary ma do ciebie słabość – wciął się Makaroniarz.

– Zrobimy to, żeby z zemsty nie wcisnął nam kogoś na miejsce Rona i Wodza, a ja go znam i wiem, że zrobiłby to bez mrugnięcia okiem. Poza tym skoro będzie u nas ktoś dla niego ważny, my również staniemy się ważni. Może przy okazji uda się wydebić nowy sprzęt.

– Mamy kłopot – odezwał się spokojny i opanowany Borys.

Borys rzadko się odzywał, ale kiedy to robił, zwykle miał rację.

– Ona poszła do stołówki, gdzie jest teraz co najmniej dwadzieścia osób, i swoim cichym głosikiem poprosi o kakao.

Ruszyli w stronę drzwi. Tylko Koshe zapiął w końcu guziki w mankietach i odszedł w innym kierunku. Spojrzał jeszcze raz na zegarek. Już był spóźniony.

Stołówka przypominała dziewiętnastowieczną rzeźnię. Karmili całkiem dobrze, ale ich załoga tylko czasami z niej korzystała. Dziewczyna siedziała przy długim stole w kącie sali pod oknem. Co i rusz ktoś na nią zerkał. Była nowa, a wszystko co nowe, było ciekawe. Ludzie dawali sobie znaki, pytając się między sobą, w którym jest zespole. A więc jeszcze się nie rozeszło.

Klecha podszedł do niej i zdjął jej z szyi plastikowy dowód, przepustkę i nieśmiertelnik. Mało brakowało, a zahaczyłaby o nie łyżką z budyniem. W sali jakby zgęstniało. Obsiedli ją wokoło. Klecha zajął miejsce naprzeciwko, obok niego usiał Makaroniarz, a po obu jej stronach chłopak z grzywką i pogodnie uśmiechnięty Borys. Odłożyła na bok wymiętolony i ubrudzony tłustymi plamami jadłospis w ich języku. Zapowiadało się na maglowanie. Blondyn podrapał się pod koloratką i przekładając w palcach jej dokumenty, zadał kluczowe pytanie wieczoru:

– Kim ty, kurwa, jesteś?

Kłąb dymu uleciał nad stół. Machnęła ręką nad miską.

– Zacznijmy od tego, że jestem niepałaca.

– Wiesz, o co pytam.

– Już trzeci raz czytasz moją odpowiedź.

Pochylił się nad stołem i położył na nim jej własność.

– Żyjemy tu już jakiś czas i jeszcze spotkaliśmy kogoś, kto zachował swój ojczysty język.

Odłożyła łyżkę i spojrzała w jasne oczy.

– Nie ma w tym świecie nikogo takiego jak ty. Ani tu, ani w dwóch pozostałych piekielkach.

– Witaj w moim koszmarze.

Nie skomentował jej słów, bo właśnie mijali ich wychodzący. Westchnął zrezygnowany.

– Wcześniej czy później wyda się, że jesteś... – szukał określenia – ...inna.

– Wcześniej. Muszę tu normalnie funkcjonować, więc...

– Gdzie będziesz mieszkać? – spytał Prince.

Sięgnęła ręką do kieszeni i wyciągnęła klucze. Położyła je na metalowy stół. Para zwykłych kluczy na zardzewiałym kółku. Szczur parsknął i zaczął je oglądać.

– Myślałem, że nasze kwatery przerobili na magazyn.

– Przerobili. – Wyjęła mu je z palców i wsadziła z powrotem do kieszeni kurtki. – Czy skończyliśmy ma dzisiaj, bo muszę się jeszcze rozpakować?

Spojrzeni po sobie porozumiewawczo. Klecha zgasił papierosa o metalową nogę krzesła i wystrzelił niedopałek palcami za uchylone okno.

– Nie spóźnij się. Koshe nie lubi... wielu rzeczy.

– Nie musi mnie kochać.

Makaroniarz parsknął szczerze ubawiony.

– To jesteś jedyną babą w promieniu, niech pomyślę, od muru do muru, która nie chce być kochaną przez Koshego.

Z jej miny wynikało, że nie rozumie, o czym mówi. Odsunęła krzesło i podniosła tacę.

– Jeśli to wszystko, pożegnam się już. Do jutra. Będę punktualnie.